

ZBIGNIEW GŁODZIŃSKI
Redakcja Literacka
JX

2m. VI-71, JST
16 35 - 16 55

WYDZIAŁ KULTURY I WYDZIAŁ PRASY
PUBLICYSTYKA
BYDGOSZCZ

zawala sie
nr D-9

23 VII 1971
data podpis

GNIAZDA NIEROKOJU

Wieża miała piętra i pięterka. Na te najwyższe, a zarazem coraz krótsze kondygnacje trzeba było wspinać się niemal jak po drabinie. Zawirowało jeszcze raz wielkie koło zieleni poprzecinane żyłkami ulic i szos; niebieskie oczy stawów, zgliszczą horyzontów. Nie, nie czułem się mocny ani wielki na tej wysokości. Zielony widnokrag, jak nagle zatrzymana loteria, stanął w obliczu ogromnego nieba, aby odkryć mi los. Byłem po prostu kimś, kogo osadzono w wieży, choć przyszedłem tu z własnej woli, a wieża miała przecież lekką, metalową konstrukcję, wieża była klatką misterną i piękną. Można było uwolnić się bardzo łatwo, wystarczył krok poza barierkę, ale jeszcze chciałem żyć. Chciałem uwierzyć w kogoś spoza horyzontów, kto od moich powiek odjąłby pustkę, a usta uwolnił od wzgardliwego uśmiechu. Tu, na szczyście, było dużo świeżego nieba. Uregulowałem oddech, uspokoilem się zupełnie i przybierając którąś z nieszkodliwych twarzy, począłem spełzać w dół.

Tam, na wilgotnym piasku, też było koło. Jeszcze z wierzchołka widziałem ten okrąg, słychać było nawoływania i okrzyki dzie-

cięce. Mali chłopcy podzielili kółko na państwa i ustawieni przy linii w pozycji startowej czekali na wyzwanie.

- "Kanada wypowiedzi wojnę" - w tym [] miejscu nastę-
 powała efektowna pauza, moment najwyższego napięcia - "wypowiada
 wojnę Szwecji!" - Wszyscy starali się odbiec jaknajdalej, a chłopak,
 który był Szwecją, chwycił piłkę ze środka koła, wołając: "stój!"
 Potem wybierał sobie najbliższego kolegę i rzucał w niego piłką,
 aby zarobić, lub stracić kawał ziemi. Schodziłem bardzo wolno, ~~xx~~
 w międzyczasie oni przerwali grę i trochę dalej narysowali sobie
 inny świat, choć bardzo podobny. Podzielono go znów na równe części.
 Mijając ich, przyspieszyłem kroku, Coraz słabiej słychać było nawoły-
 wania i spory. "Ja jestem Anglia". "Coś ty, ja jestem, ty już by-
 żeś". "To jeszcze lepiej, będę Ameryka, albo Rosja". *Ziweł Podjed*

Już później, kiedy park odgrodził mnie od tej zabawy szczelną
 granicą, rozejrzałem się. Wszystkie ławki były zajęte, ludzie mie-
 li zmęczone spojrzenia, tylko dwie młode dziewczyny śmiały się
 bardzo głośno, ich śmiech zasypywał tamte wyblakłe, źle odprasowa-
 ne skórki; wprawne szczęki tych skórek, przeżuujące nieskończenie
 wielką chmurę. Poruszyło mnie nagłe, niespodziewane spłoszenie li-
 ści. Nadchodziła wicher, a ja szedłem do dziewczyny, jej wzrok,

najbardziej czysty, przenikał woale mroku i stawało się coraz bardziej jasne, że także tym razem nie będę umiał pięknie skłamać. Już otwierałem furtkę, kiedy zadźwięczał obcy, ostry głos. Okna były otwarte i zdziwiłem się, że ona, taka dokładna, nie zamyka ich przed burzą. Gwałtownie rozchyliłem drzwi. Stała spokojnie, jak grzeczna uczennica, lekko wsparta o poręcz krzesła, a nad nią pochylał się wielki, zagniewany człowiek. Nie odpowiedziała na powitanie, nie popatrzyła nawet. Nie zdziwiło mnie to tak bardzo, przecież szedłem ją przeprosić za ostatnią awanturę. Tamten wysoki znieruchomiał i wbił we mnie chytre ślepią, wciąż bez jednego słowa.

- Kim pan jest ? - zapytałem.

- To pan inspektor z wydziału kryminalnego - Ilona ledwo poruszyła ustami, dopiero teraz popatrzyła na mnie. Właściwie tak powinna zachować się dzisiaj, ale wiedziałem, że nie tylko o to chodzi.

- Nie przeszkadzam ? - znów odezwałem się trochę niegrzecznie, ale to było starannie wyreżyserowane. Nie miałem żadnych wątpliwości co do celu wizyty starszego człowieka, który zresztą

natychmiast potwierdził moje domysły.

- Ja właściwie do pana - uśmiechnął się złośliwie. -

A z panią prowadziliśmy sobie przyjemną rozmowę.

Dopiero teraz zobaczyłem dokładnie twarz Ilony : ściągnięte brwi i to spojrzenie, chyba nie tylko smutne. Było to spojrzenie pozbawione wszelkiej wiary, przerażająco wyblakłe. Tak, ten drab musiał powiedzieć jej o swoich podejrzaniach. Przemknęło mi przez głowę wszystko, co wiedziałem o ~~tamtąj~~ sprawie, która przysporzyła mi wiele kłopotów. Przypomniałem sobie barwę tamtego dnia. Pogodne, jesienne popołudnie. Sosny i wrzosy. Ludzie zbierający grzyby, nawoływania. Uciekałem od nich jak zawsze coraz dalej, w głębie ciszy. W dobrze dopasowanym dresie bardzo lekko biegłem na spotkanie najdalszych drzew, One rosły poza słońcem, od nich niby czarne ~~ptaki~~ liście odrywały się ptaki. Moja ścieżka - popiółk po słonecznej wstędze - niosła mnie coraz bardziej miękko, zarastała trawą. Zaczynały się bagna. Tak, właśnie tam ujrzałem człowieka zalanego krwią, krew mieszała się z błotem, widać było tylko ręce i głowę, reszta tkwiła w cuchnącej, czarnej mazi. Rozebrałem dres, to była tylko sekunda. Wyciągnąłem go, obmyłem. ~~twarz~~ Ukazała mi się twarz człowieka, któremu przepowiedziałem koniec, jaki go właśnie spotkał.

Żył jeszcze, ale był nieprzytomny. Dotarłem do leśniczówki, zawiadomiłem pogotowie. ~~Kimś~~ Przyjechali za późno.

Patrzyłem więc na nich dwoje, na Ilonę i inspektora, jej bezwład sprawiał mu widoczną radość, teraz podchodził do mnie, do następnej ofiary.

- Słucham pana - powiedziałem.

- Tylko dwa zdania - inspektor uśmiechnął się fałszywie, był zawodowo nieszczerzy, można powiedzieć, klasycznie podstępny.

- Co pan znalazł wówczas przy tamtym człowieku ?

- Nic - odparłem. - Już ktoś o tym mówił.

- Powiedz wszystko, bardzo proszę - szepta Ilona był nie skończenie bardziej przenikliwy niż głos.

Nagle pojąłem, że ona mi nie wierzy, jakże późno to zrozumiałem. Usiłowałem spojrzeć jej w oczy, ale patrzyła dalej, poza mnie, jej oczy były zupełnie wypalone.

- Nie mam nic do powiedzenia - wyrzuciłem z siebie ze złością. Musiało to zabrzmieć ostrzegawczo, bo naraz tamten przestał się uśmiechać.

- Powie pan gdzie indziej - rzucił twardo.

Zamknął za sobą drzwi, a ja odwróciłem się do okna. W tej se-

kundzie przypadła do mnie Ilona.

- Powiedz wszystko, przyznaj się! - jej głos zabrzmiał niespodziewanie silnie, w oczach nie dostrzegłem łez. Odsunąłem ją łagodnie, na odległość ramion, potem dotknąłem dłonią jej twarzy. Patrzyła ostro, zdecydowanie.

- Moja droga, masz jasne włosy - starałem się mówić poważnie - masz długie, wspaniałe włosy i sama jesteś wspaniała. I jesteś bardzo, bardzo mądra. Czy sądzisz, że takiej dziewczynie mógłbym wyrzucić ~~nieprzyjemność~~ przykrość?

- Przestań, proszę cię - ~~nieprzyjemność~~ znów przeniknął mnie bolesny szept, wezwanie.

Popatrzyłem w stronę okna, wciąż otwartego.

- Zamkniemy okno? - spytałem - zaraz będzie ulewa.

Nie odezwała się. ~~Wzruszyła ramionami~~ Doświadczyłem strasznego uczucia. Oto stanął przede mną ktoś zupełnie odmieniony, a ja spodziewałem się innych, bardziej gwałtownych reakcji. Zbliżyłem się powoli, zachodząc jej drogę od drzwi. Nie cofnęła się. Ująłem w dłonie jej ciężkie włosy, wykręciłem głowę, aby patrzyła mi prosto w twarz.

- Więc jestem mordercą, ty naiwniutka panienko?

- Puść, to boli - patrzyła nieustępliwie, teraz było już

prawie pewne, że nieprędko mi to zapomni. Z sekundy na sekundę stawa-
liśmy się wrogami, oboje rozumieliśmy, że jeszcze chwila, a nikt ni-
kogo nie będzie przeproszał. Wszystko wydało mi się mało ważne, nie-
warte zachodu. Stała przede mną obca, piękna kobieta, której spra-
wiałem ból, trzymając ją za włosy. Postanowiłem odepchnąć ją mocno,
zatonęła się na fotel, spadł jej but. ^{but} Zakryła twarz dłońmi, bez sko-
wa skargi i ten bezbronny gest uczynił ją podobną do tej, jaką wiele
let później zawsze musiałem pamiętać. Odplynęła fala gniewu, ujrza-
łem wszystko w dawnych proporcjach. Zobaczyłem ją w ostrym skupieniu,
jej włosy całował uśmiech lata. Wracalem do tamtych dni, ~~wokół~~
~~rozjarzonych~~ rozjarzonych i lekkich, przez rzekę ptasich śpiewów. Witał
mnie las, a nocą-jej sen wschodzący długimi rzęsami. Jej sen o mnie.
Siedziałem ciężko obok, w drugim fotelu.

- Wszystko uczynię, tylko nie płacz - poprosiłem. - Zrobię
wszystko, ale uwierz mi.

Jedyną odpowiedzią były wielkie krople deszczu uderzające o
parapet. Podniosłem bucik, zdjąłem z jej stopy drugi i zestawilem
oba razem. Westchnęła, prawie niedostrzegalnie poruszyła się, tak,
jak to czynią śpiące księżniczki. Nie próbowałem odrywać białych rąk

od powiek, w obawie, że zobaczą kzy. Ułożyłem ją ostrożnie na
tapczanie, siadłem obok.

- Jutro będzie ładnie - starałem się nadać wypowiedzanym
zdaniom wesołe brzmienie. - Jutro pojedziemy do adwokata, a później
będzie lato. Będiesz miała piękne suknie, a potem naprawimy jacht.
podniosła głowę.

- Myślałam, że chcesz mnie uderzyć.

Poczułem się nieswojo, zadała mi najcelniejszy cios.

- Nigdy tego nie chciałem.

- Ale upadłem przez ciebie.

- Nie, to przez ^{ten} ~~but~~ na wysokim obcasie.

- Naprawdę ?

- Tak! Wiesz, dzisiaj byłem na wieży. Myślałem, że
zdołam dostrzec dla siebie miejsce na ziemi, ale wieża^d jest zbyt
niska, nie potrafiłem wybrać.

- Mów dalej - poprosiła.

Mówiłem. O dawnych, dziecięcych latach i coraz bardziej
straszliwej samotności, kiedy nie jestem przy niej. O szaleństwach
i orgiach, które mnie nie zmogły. O zamierzchłej historii w loka-
lu, w którym upiłem się, aby wyrzucić z siebie rozrastające się

zwierzątko. Obok pili jacyś dziennikarze, czy plastycy i nie mogli zrozumieć, że jestem wielkim wodzem, [redacted] i że przeistaczam się w kilka ptaków naraz, kiedy muszę uciekać. Byli złośliwie poważni. "Pan jest chory, pan powinien się leczyć" - powiedział jeden z nich, było ich kilku, pod mało ciekawymi powłokami gromadzili strach, pomimo to starali się postępować poprawnie, aby mnie upokorzyć. Nie zamieniłem się w kilka ptaków naraz, a tylko w jednego, o wielu skrzydłach. Te skrzydła rozerwały mnie na strzępy, ale oni, ~~pomalowane wróbelki~~ moi rozmówcy - pomalowane wróbelki o sępich skłonnościach - obawiali się nawet tych krwawych, drgających w błocie strzępów. Wiedziałem, czułem całą mocą istnienia, że jestem lepszy, wypowiadając jednocześnie coraz większe głupstwa, dając im coraz więcej pozorów i szans. Całowałem pijane dziewczyny i ~~im~~ pożyczyłem od kogoś parę ~~groszy~~ ^{20 zł} na wódkę. Spowiadałem się niezwykle dokładnie, teraz, kiedy Ilona dotknęła moich włosów, kiedy spodziewałem się, że tamte koszmary przygasi ^{nowy} jej głos.

- Mów dalej...

Była wreszcie znów sobą, kochającą i kochaną kobietą, gwiazdą moich powrotów. Już nie złościła się, nie obrażała. Wstałem,

aby zasłonić okna, błysnęły zyrandole. Oboje staraliśmy się odwrócić nasze decyzje, oboje kochaliśmy się tak bardzo...

- Mój biedny, przeklęty ptaku. Moje zaszczone dziecko - wtuliła twarz w moją twarz, głos jej zadrżał.

I nagle ta chwila absolutnego szczęścia została ~~oburzona~~ zachwiana, dosięgły mnie zadyszane słowa.

- Wierzę ci, że miałeś rację. Miałeś swoje powody, tamten był bandytą. Wyciągniemy cię, nie pójdiesz do więzienia. Mogłabym umrzeć.

Odsunąłem ją lekko, łagodnie.

- Więc wybierzesz mordercę ?

- Wybrałam cię. Dla mnie jesteś tylko sobą, nawet gdybyś mnie musiał zabić.

Uniosła się na kolanach, sięgnęła do aparatu. Odebrałem jej słuchawkę, położyłem na miejscu.

- Mała jest twoja wiara - kładąc dłoń na klamce, starałem się wyjść bez słowa, ale kiedy krzyknęła, odpowiedziałem.

- Jestem tylko małym, krwawiącym strzępem. Nawet przy tobie, bo mi nie wierzysz.

- Dokąd idziesz ?

- Tam, gdzie jest gniazdo wyklętych ptaków. Gdzie ich przedwczesny lot kończy się klęską.

Czułem wielki ból, było to zupełnie fizyczne uczucie. Przyspieszając kroku, zerwałem gałązkę akacji i aby zagłuszyć tanto, zacisnąłem dłoń. Ilona dogoniła mnie przed samym wejściem na wieżę. Jej oszalałe z przerażenia oczy i rozwiane włosy sprawiły, że zatrzymałem się raptownie. Spłynęła na mnie niezmierna ulga, gdy wyławiałem z jej głosu namiętne słowa.

- Wybacz mi. Sama nie wiem, jak mogłam. Nie idź tam! Co mam zrobić?

Z bardzo daleka dobiegł mnie własny głos.

- Obiecuj, że będziemy szczęśliwi. Obiecuj, że nie umrzesz przede mną. I obejmij mnie.

Wracaliśmy przytuleni do siebie, przez prawie pustą ulicę. Czułem się winny, uświadamiając sobie, jak to wszystko przeżywała ona, jedyna powierniczka, jasnowłosa miłość. Czy naprawdę sądziła, że mogę skoczyć z wieży? Och, cóż za przeciwieństwo Ikara, lecieć tak zdecydowanie w dół, aby tylko umrzeć. Ponad zwykłą chęć życia wynosiło się jeszcze coś. Oto mógłbym upaść na jedno z blado rysujących się jeszcze, dziecięcych kół-światów. Mocno wrytych granic nie zmyła ulewa, koła-światy czekały na swoich aktorów, na wypowiedanie

wojen. Czy mógł im wystarczać jeden, jedyny roztrzaskany człowiek ?

- Nie myśl już tak - Ilona mocniej objęła moje ramię - nie myśl!

Odchodziliśmy, zostawiając welony mroku u stóp wschodzącej nocy.

Przesycane zapachem deszczu ogrody przenosiły nas poza kamienice i twardy bruk. Już nie dzieliły nas złe słowa, po złym dniu nadchodziła świeżość.

- Nie oglądaj się - powiedziała Ilona. - Gdybyś to zrobił, wszystko na nie.

Nie miałem na to ochoty. Nie myślałem o tamtym. Po ogromnym napięciu stałem się cichy i bezwolny i pomyślałem, że tej nocy powinno mi się przyśnić morze sprzed tysiąca lat; sen, powracający najczęściej. Ledwie dopiero poznające świat, dzika drużyna zachłystująca się wiatrem i pieśnią. I gdzieś na nieznanym, drugim brzegu nie ma Ilony, jest tamta, prawie jej siostra - przepełniona nienawiścią do nas, czekająca na naszą śmierć, patrząca dumnie z wysokości swego konia. I jedyne pragnienie. Zedrzyć ją stamtąd, założyć pęta i powlec za sobą, do morza.

- Nie myśl - nagłe szarpnięcie odsunęło tamte obrazy.

Ilona znalazła klucz, przekręciła go ~~w zamku~~ w zamku. Przekraczaliśmy granicę swego malutkiego państwa, które mogło dzisiaj przegrać wielką wojnę.

ZBIGNIEW GŁODZIŃSKI